NUMBER 37. DNIA 13-go WRZEŚNIA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Witołd Pruszkowski

(Z powodu wystawy w Salonie Latoura).

Był jednym z tych, do których w całej pełni stosują się słowa jednej z masek w „Wyzwoleniu“: „Oto Polska jest twojej duszy własnością i tęsknotą!“... To była treść najgłębsza żywota człowieka i treść twórczości całej artysty, który jest jednym z naszych twórców największych a zarazem najbardziej narodowych, polskich w każdym calu. Urodzony r. 1846 w Bernsztadzie na Pobereżu (według innych w Odessie), był on dzieckiem stepów ukraińskich, które jego młodocianą wyobraźnię raz na zawsze zaklęły w czarodziejski świat pieśni gminnej a młodą duszę tęsknotą bezbrzeżną i nieukojoną żądzą swobody wypełniły. Dzieckiem tem pozostał Pruszkowski aż do zgonu. Prawy Polak do szpiku kości, był on materjałem stworzonym na męczennika idei narodowej i patrjotyzm swój posuwać umiał aż do fanatyzmu. Miłość dla polskiej mowy i dla polskiej przeszłości szła u niego przed wszystkiem innem, najgorętszem atoli było w nim umiłowanie ludu polskiego. Wyrosły w otoczeniu ówczesnych ludowców ukraińsko-kijowskich, zewnętrznie nawet, do końca życia zachował ich tradycje. Ulubiony strój jego, burka ukraińska lub czamarka i czapka barania, w których widzimy go też na znakomitym autoportrecie, znajdującym się między innemi rzeczami na wystawie obecnej, nadawały jego pięknej, ogorzałej i melancholijnej twarzy, o uszlachetnionym i wyrafinowanym ale wybitnie chłopskim typie, coś ukraińskiego i grottgerowskiego, coś, co za granicą zwłaszcza, uderzać musiało każdego. W duszy jego nie było rozdziału pomiędzy sztuką a życiem — Pruszkowski więc nietylko zawsze z ukochanym przez siebie ludem wiejskim chętnie z bliska przestawał, ale w końcu osiadł wśród niego (w Mnikowie pod Krakowem), „żył z nimi, cierpiał z nimi, nigdy mu kto szlachetny nie był obojętny“. „Rzecz szczególna — pisał w r. 1896, bezpośrednio po jego zgonie, „malarz z Bronowic“: Włodzimierz Tetmajer — rzecz szczególna, tego malarza, tego artystę, tego o rafinowanym umyśle człowieka, płaczą siermiężni chłopi krakowscy a echo smutnej wieści, że „malarz z Mnikowa“ już nie żyje, zasmuciło głęboko chłopskie proste dusze“.

Z głębi tej to prostej duszy chłopskiej wyrosła cała sztuka Witołda Pruszkowskiego. Jak nikt drugi w sztuce naszej jest on *par excellence* malarzem-poetą ludu, jak nikt drugi umiał on przepoić się duchem ludowej poezji polskiej, przywłaszczyć sobie jej natchnienia i utrwalić je w kształtach skończenie artystycznych. Czem Schwind jest dla średniowiecznej Sagi niemieckiej, czem Böcklin dla zgotycyzowanego świata klasycznego, tem Pruszkowski jest dla naszej pieśni

gminnej, „arki przymierza między dawnymi a młodymi laty“. Pomimo wszelkich różnic tak ogromnych pomiędzy tymi artystami zachodzących, znaczenie jego indywidualne i znaczenie historyczne dla sztuki naszej jest to samo zupełnie, co tamtych dwóch w sztuce niemieckiej. On to pierwszy w plastycznej sztuce polskiej otworzył krynicę niewyczerpaną poezji ludowej i pierwszy w naszem malarstwie stworzył nam nawskróś oryginalnie pojętą, duchem narodowym przepojoną polską romantykę ludową. Znaczenie jego na tem polu jest to samo zupełnie, co Matejki dla naszej przeszłości historycznej wogóle, Kossaka dla naszej przeszłości ziemiańsko-rycerskiej a Grottgera dla epoki ostatniej naszej walki narodowej o niepodległość. Sięga przytem ten poeta tak głęboko w duszy ludowej tajniki, iż często wydobywa z niej w swoich obrazach jakieś zda się, zamierzchłe, przedhistoryczne pierwiastki, jakieś na dnie duszy tej w ukryciu drzemiące, prasłowiańskie echa... I tu schodzi się on z tym, który „dla ludzi mego pokolenia był mlekiem i miodem, i krwią duchową i my z niego wszyscy“ — ze Słowackim, twórcą „Anhellego“, który na niego, podobnie jak na Jacka Malczewskiego, wpływ wywarł ogromny i którego Pruszkowski, w większej mierze, aniżeli Malczewski, często wprost bywa ilustratorem.

Rzecz dziwna, zwłaszcza w tym wypadku, ale u nas tak zwykła, niestety — ten nawskróś narodowy artysta, prawy i niestrudzony jak rzadko, szukający ustawicznie nowych pomysłów i stawiający sobie nowe wciąż do rozwiązania problemy, zapoznany był za życia a w każdym razie niedoceniony przez ogół zarówno jak i przez krytykę. Otaczała go natomiast cześć głęboka kolegów-rówieśników, którzy jedyni zdawali sobie sprawę z tego, jak daleko w przyszłość sztuka jego, czas swój wyprzedzająca, wybiegała. Oni już wówczas widzieli w nim odkrywcę dróg nowych, odczuwali „malarza przyszłości“. I dziś oto ziszczają się coraz bardziej te przeczucia. Dziś z dniem każdym uczymy się poznawać, uznawać i kochać jego sztukę i w szeregu poprzedników i przewodników naszego współczesnego malarstwa stawiamy go jednogłośnie w pierwszym rzędzie. Był bowiem Pruszkowski nietylko typowym przedstawicielem wirtuozowstwa malarskiego w znaczeniu swojego pokolenia, wytwornym rysownikiem i świetnym kolorystą, był nietylko jednym z pierwszych wogóle naszych impresjonistów i pleinairzystów — ale nadto był jeszcze jednym z tych, którzy w malarstwie naszem pierwsi nadać umieli plastyczny wyraz najmniej pochwytnym, czysto abstrakcyjnym czynnikom psychicznym i to w człowieku zarówno jak w przyrodzie.

Nie tu miejsce na obraz ewolucyjny i charakterystykę krytyczną tego talentu, który jak najprędzej doczekać się powinien należytego opracowania i artystycznego swej puścizny spopularyzowania. Pruszkowski, który najpierw uczy się w Paryżu u Góreckiego, potem w Monachjum w szkole Wagnera (Strehuber, Anschütz) a wreszcie (od r. 1872) w Krakowie pod Matejką, prędko bardzo objawia się jako talent zupełnie samodzielny, odrębności swojej indywidualnej wiadomy. Wymownem tego świadectwem ten „Piast“, pierwszy jego i ostatni obraz historyczny, malowany jeszcze pod okiem Matejki (r. 1875) — tak mało matejkowski a w tak wysokim stopniu natomiast wykazujący już przyszłe cechy całej późniejszej twórczości Pruszkowskiego... Kiedyż nareszcie doczekamy się wydawnictwa, któreby godnie odtworzyło nam całokształt jej w swoim rodzaju jedyny? Wydawnictwa, w którem obok „Niedzieli zielnej“, „Sielanki“, „Pastuszków“, „Madeja“, „Djabła w suchej wierzbie“, „Rusałek“, „Świtezianki“, „Snu na kwiatach“, „Wiosny“, „Skrzypek zaczarowanych“, znalazłyby się wstrząsające sceny z martyrologji podlaskiej i niezapomniane obrazy sybirskie: „Anhelli“, „Śmierć Ellenai“, „Eloe“, „Pochód“, nie mówiąc już o portretach, typach ludowych i t. d.? Może przykład Czechów, którzy w ten sposób niedawno spopularyzowali swego Uprkę znajdzie i u nas naśladowców.

Tymczasem każda wystawa zbiorowa Pruszkowskiego, która go pamięci naszej przypomina i bliżej z nim zaznajomić się pozwala, powinna być pożądaną sposobnością. Obecnie w Salonie Latoura otwarta wystawa spełnia dobrze to zadanie, dając na czterdzieści przeszło okazów rzeczy różnego rodzaju i z różnych epok pochodzące, a wśród nich szereg dzieł wartości pierwszorzędnej. Są to najpierw cztery kapitalne portrety, jako to „portret synka z psem“ (jeden z najlepszych polskich portretów dziecięcych), wspomniany już „portret własny“, „portret pani F.“ i kredkowy „portret brata“. Dalej czarujące subtelnością kolorytu i czarem poetycznym „Wierzby“ oraz pa-

stelowe również studyum pejzażowe do „Pochodu" a z kompozycji zwłaszcza cudna „Wizja Krasińskiego" i „Chrystus" (pastel). Z większych płócien są tu jeszcze „Wiosna", „Gwiazda spadająca" i nieznana dotąd zupełnie „Bachantka". Przyłącza do tego się jeszcze cały szereg krajobrazów, portretów, studjów i szkiców. Wszystko to razem daje o Pruszkowskim wyobrażenie wcale już dokładne a jest od czasu wystawy pośmiertnej z r. 1897 pierwszą we Lwowie sposobnością bliższego zapoznania się z jego nieśmiertelną twórczością. Dlatego też wystawa świeci pustkami... *A. C.*

EDMUND LIBAŃSKI.

Polonia w Danji.

(2)

— A podobali się nasi ludzie Księdzu?...

— Tak, bardzo ich polubiłem, nauczyłem się od nich piosnek waszych!

Tu ks. Ortved zdjął gitarę z kółka i akompaniując wybornie, odśpiewał kilka znanych krakowiaków, dumek ruskich, na zakończenie zaś piękny poważny narodowy hymn duński.

Służąca z pruskiej Polski stała podczas tego w drzwiach a oczy jej jaśniały radością.

Po tem intermezzo, za które wyraziłem moją wdzięczność zacnemu gospodarzowi, interwiewowałem dalej:

— Skądże Ksiądz Dobrodziej bierze na to fundusze?

— Ho, ho, trafił pan od razu w słabą stronę, nie pobieram żadnej pensji — jako ksiądz, ani od kościoła, ani od państwa, jestem tylko misjonarzem i zbieram tam u waszych na cele polskie w Danji.

— U nas? naprawdę, nie wiedziałem o tem...

— A tak, — odrzekł pogodnie, — wszystko co pan widzi, kościół, całe gospodarstwo, wszystkie jazdy moje, pomoc, opędzam funduszami ze składek zebranych w Polsce — na Litwie, Wołyniu, w Warszawie, z Krakowa, Lwowa, Poznania.

— Lud polski wraca do domu, a ja biorę kufereczek i dalej jazda po świecie z kwestą.

Zeszłego roku miałem od marszałka waszego Sejmu 400 koron, a postaram się o to, by Wydział krajowy dopomógł mym usiłowaniom.

Buduję teraz schronisko dla polskich robotników, pokażę panu...

Mam zamiar urządzić tam dla nich i pobyt tymczasowy i popularne wykłady, rodzaj Uniwersytetu ludowego...

— To ślicznie — odrzekłem uradowany — będzie to jeden z najodleglejszych oddziałów naszej instytucji w kraju — może Ksiądz Dobrodziej zorganizuje?

— Owszem — rzekł żartobliwie czcigodny kapłan — zaproszę pana na wykład, gdy wszystko będzie przygotowane.

— A czy trzeba pozwolenia waszego wysokiego rządu?

Ks. Ortved zrozumiał.

— Panie! Danja to nie Galicja. Poczem dodał z dumą a oczy mu żywiej zabłysły: — Jesteśmy wszyscy wolnymi obywatelami, niema u nas analfabetów, każda wieś ma szkołę, niema u nas żebraków, a dla porządku mamy własną policję — ale trzeba to zaznaczyć... **bez broni**.

Przypomniały mi się niedawne czasy we Lwowie, ojcowska delikatna opieka naszych półksiężyców nad zgromadzeniami... no i inne sprawy, których przytoczenie spowodowałoby zamach czerwonego ołówka z dodatkiem „skonfiskowane"; westchnąłem więc, wyrażając żal, że u nas daleko do tego...

— Tak, znam waszą historję, zabrzmiał silnie głos mego gospodarza, brak tęgiego średniego stanu, to było zgubą Polski!

— To przeszłość! dziś Polska zrywa się coraz bujniej do samoistnego życia we wszystkich zabo-

rach! — proszę rozważyć, już nie w marzycielstwie, ale w żywych pełnych nadziei faktach — oto np. twardy dzielny lud z pruskiej Polski...

— Wiem, wiem — przerwał Ksiądz, — czytałem, raduję się z tego i wasz ruch ludowy w Galicji... znam...

— Rozwija się pełen nadzieji i ruch robotniczy — dodałem — a w „Królestwie“, kują szerokie zastępy podziemną Polskę niepodległą.

— Wierzę, — tu zadumał się nieco gościnny gospodarz Duńczyk z rodu, a całą duszą Polak — że „jeszcze Polska nie zginęła“!...

Przez otwarte okno widać było promienną kulę słońca, chylącą się ku zachodowi, pod świetlistym lazurem lśniły się, jak gdyby w świątecznym nastroju, schludne piękne domeczki cichego miasta. Z ogrodu plebanji zaglądały do wnętrza wielkie rozchylone róże, napajając wonią cały pokój a zbłąkany odbity od szyb promień słońca rozpłomienił wiszącą na ścianie chorągiew polską, do której zgodnie tuliła się flaga duńska.

Obydwaj milczeliśmy chwilę...

— Wybaczy pan, rzekł nagle do mnie Ks. Ortved, że załatwię sprawy moich parafjan. Jutro niedziela, przyjdą tutaj z różnych okolic, zostawimy sobie dalszą rozmowę na później...

— Ależ proszę — odrzekłem, obejrzę miasto, wszakże jutro jedziemy do kolonji, to już po drodze ponudzę jeszcze łaskawego pana.

Wybrałem się więc dla obejrzenia Maribo — przedtem jeszcze musiałem przyrzec, że wrócę na kolację.

Maribo, miasteczko liczące 3000 mieszkańców, posiada dwie parowe mleczarnie, wielką fabrykę rzeźniczą parową, fabrykę wagonów, dwa parowe młyny, posiada kilka nader schludnych hoteli, kawiarni, księgarnię, rozliczne sklepy, a jak mnie informowano, większa część miasteczek takich odznacza się wybitnem życiem przemysłowem i postępowym ruchem umysłowym.

Biurokracji niema, burmistrzem może być tylko egzaminowany prawnik, a burmistrz taki jest zarazem sędzią i naczelnikiem powiatu — w sprawach, tyczących miasta, jest wykonawcą uchwał rady miejskiej.

Dowiedziałem się także, że ks. Ortved chcąc ustrzedz wychodźców od strat materjalnych, sam prowadzi jak gdyby „kasę oszczędności“ dla robotników, przez co rosną wkładane zarobki. Łatwo zrozumieć, że banki patrzą na to krzywo. Rocznie zaoszczędzone kwoty przez naszych robotników, wynoszą zwyż 30.000 duńskich koron (jedna korona duńska równa się jednej koronie 35 hal. austrjackich). Dzięki jego usiłowaniom dwory coraz rzadziej udają się do Prusaków o dostarczenie robotników z Galicji a i nasi piszą wprost do ks. Ortveda, który stara się o jak najlepsze warunki i wynagrodzenie dla wychodźców.

Na miłej pogawędce polsko-duńsko-niemieckiej, gdyż przy stole byli i goście z Kopenhagi, przeszedł mi czas do późnego wieczora.

Nazajutrz była niedziela — już wczesnym rankiem zdążały grupami ogorzałe dziewczęta i parobcy z rozmaitych okolicznych folwarków — niebawem piękny kościołek nabrał fizjognomji polskiej.

Rozmodlone, klęczące postacie znane nam z kościołów wiejskich, żarliwie zatopione we mszy odprawianej; przed ołtarzem ks. Ortved, w głębi chorągiew polska, na niej złotem haftowana Matka Boska Częstochowska.

Część zgromadzonych stanowili miejscowi, to też kazanie na temat „miłość bliźniego“ wygłaszał kapłan w języku polskim i duńskim.

Po nabożeństwie mieliśmy niebawem pojechać do niezbyt oddalonej miejscowości Nakskow, a stamtąd końmi na folwarki z robotnikami polskimi.

Porozmawiałem jeszcze trochę z rodakami...

A pan od nas z Polski? pytały filuternie dziewczęta.

A tak z Galicji — a wyście skąd?

Ja z Gwoźdźca — wyrwała się przystojna, opalona brunetka, a oczy śmiały się dumą, gdy żywo dodała: — z pod Krakowa.

Wszystkie z Galicji?

Nie, zabrzmiał chór, — wysunęły się inne z gromady — my z ruskiej Polski.

Dowiedziałem się, że wyruszyły z wiosek gubernji łomżyńskiej. Najwięcej było z Polski pruskiej i Galicji, przeważnie dziewcząt, gdyż do robót polnych przy burakach parobcy nie nadają się.

Podoba wam się w Danji?

Musi się podobać, odezwała się jedna z rezolutnych — abo my tu dla przyjemności? Cni nam się bardzo za domem!

Cóż, nie mogłyście zostać w domu?

A kiedy mało płacą, tu ciężka praca, ale zarobek zawsze lepszy — i lepiej się obchodzą...

Niech pan nie słucha, — wtrącił zuchowaty mazur i tu różnie płacą, u jednego pana lepiej, u drugiego gorzej!

Tak — przyznała dziewczyna — jak się trafi dobry aufseher, to dobrze, a jak zły, to ino zaraz uciekać...

Aufseherami są prusacy, którzy przywożą zastępy robotnic i nader często przy wypłacaniu należytości oszukują, oraz często postępują brutalnie.

(C. d. n.)

WACŁAW SIEROSZEWSKI

POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(11)

V.

Rzeka łuszczyła się cała od wiatru. Porwane płowe chmury płynęły po niebie i chwilami ćmiły słońce. Naówczas wiatr się wzmagał i na zciemniałych falach pojawiały się białe, pieniste „zające". Szkuta zaczynała się gwałtownie kołysać, bryzgi wody leciały przez burty i wśród kupców wszczynał się popłoch...

— Damianie, przeklęty człowieku, chcesz nas utopić!.. Wczoraj kiedy była ładna pogoda, toś balował... Hej! chłopcy, pomarliście?... Mieszacie wiosłami, jak łyżkami w zupie... Toć nas zaleje!.. Dalej!.. Żywo!.. Nalegajcie!

Wylękli oryle sami wytężali siły i orali wiosłami, aż wiośliska gięły się w łuk i dulki piszczały żałośnie.

— Aby prędzej, aby prędzej... aby przelecieć strzał rzeki. A tam pod górą wiatr już nie chwyta!.. — pocieszał ich Guran, dzierżąc mocno ster i wypatrując pilnie drogi wśród biegnących naukos fal.

Pani Anna, zamknięta w swej budce, nic nie widziała. Ale skrzyp podrzucanej szkuty, sapanie i krzyki ludzi, ryk bałwanów, świst wiatru, śmiganie wodnej kurzawy, trzepotanie żaglowego obszycia, trwożyły ją niezmiernie. Nadomiar Oleś płakał, a Karski siedział na dnie szkuty, zajęty wyczerpywaniem wody, która szybko napływała z zezy. Utkwiła więc Anna wystraszone oczy w śniadą, skupioną twarz Gurana, szukając w niej pokrzepienia i otuchy. Chłop dostrzegł w przelocie ten wzrok modlitewny, uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

— Zaraz, zaraz... Popiły się psiekrwie wczoraj i teraz siły nie mają... Hej, pilnuj!

Ogromny bałwan podniósł wysoko dziób statku, następnie pienistym końcem tak trzasnął w jego buchtę, że wybił wiosła z dulek i nim je zdołano założyć, łódź obróciła się wzdłuż fal. Ze zwycięzkim rechotem poniosły ją, chyląc mocno na bok; jeden jej brzeg już czerpał wodę. Kupcy przestali krzyczeć, Bryłkin grobowym głosem odmawiał modlitwy, inni dzwonili zębami i szlochali. Karski porwał oszołomioną żonę i posadził na krawędzi pomostu. Guran całą mocą porał się z nieposłusznym rudlem...

— Bij, uderz!... wiosłem!... prawem!.. trzymaj!.. — krzyczał.

Na przedzie szkuty, wśród skłębionych ciał ludzkich, panował nieopisany zamęt. Wreszcie ponad ramiona, głowy i nogi towarzyszów wynurzyła się silna postać Obucha z wiosłem w ręku. Siadł na ludziach, wiosło na dulkę założył i pociągnął. Łódź wstrząsnęła się, jakby zdziwiona i w pląsach jęła niechętnie nawracać przeciw falom. Cały wypadek trwał ledwie chwil kilka, mimo to wody nabrało się sporo i ociężały statek z trudnością posuwał się przeciw wiatrowi.

— Niema co, trzeba lądować! Do brzegu nie zdołamy!.. — rzekł Guran.

— A ląduj, aby prędzej!.. — krzyczeli nań z dzioba.

Guran ruszył sterem i nim się spostrzegli, fale już dopełniły rozkazu. Łódź wpadła piersią na rozmokłą, ilastą ławicę, ledwie wystającą po nad rozhukane bałwany. Jednocześnie najmłodszy z kupców, Tereszkin, zupełnie nagi wytoczył się z pod płócien jak bomba i pobiegł z obłąkanym rykiem po bagnisku. Ugrzązł jednak niedaleko, w ruchomych piaskach i musieli go oryle na sznurach z urąganiem wyciągać.

— Zabiegliwy — zawczasu z siebie szmaty zrzucił...

— A tłusty taki, że nie wiadomo jak go brać: gdzie głowa — gdzie co?!

— Nie utonąłby, choćby mu kamień do nogi przywiązać... Pływałby, jak bania na kotwi...

Siał deszcz gęsty, drobny, zimny. Wiatr dął. Fale podbiegały pod dno łodzi i podnosiły jej tył wysoko, huśtały nią, ryjąc sztabą muły coraz głębiej. Przystań była niedogodna, ale nie mieli wyboru. Zanieśli daleko na wyspę kotwicę i wdziobnęli ją w piach. Poczem załoga znużona, przeziębła, bez ognia i gorącej strawy ułożyła się jak mogła na dnie statku i przespała pod płachtą smolonego płótna, ukołysana muzyką wiatru i miarowym pluskiem bałwanów.

(C. d. n.)

Iwan Wazow.

BUŁGARKA

(3)

EPIZOD HISTORYCZNY

Przełożyła z bułgarskiego Józefa z Zagórowskich Anc.

Lecz wieśniaczka uparła się. Ojciec Jeftymij rozmyślał. Otworzyć znowu bramę? To niebezpiecznie. Mogą wpaść źli ludzie... Kto wie, co się może zdarzyć... Następnie przypomniał sobie, że ta kobieta już się z n i m i widziała, może sprowadzić nieszczęście na monaster, a jeżeli się Turcy dowiedzą... Nie, lepiej się jej pozbyć, żeby jej tu nie było...

— Idź-że sobie, zawołał.

Wieśniaczka położyła dziecko pod ścianą, włożyła do torby połowę placka, który jej przyniósł Iwan, a wziąwszy na ręce dziecko wyszła. Brama zatrzasnęła się za nią, a klucz zgrzytnął w zamku.

IV.

Stara Ilica spieszyła po nocy do Iskru, po za którym czekał na nią „buntownik“. Była bardzo wzburzona, nie mogła i nie śmiała poradzić się gniewliwego mnicha, który ją przyjął w zastępstwie nieobecnego przełożonego. Wdrapała się na wysoki brzeg jaru, po za klasztorem i poszła ścieżyną, wijącą się wzdłuż Iskru. Gwiaździsta noc pozwalała widzieć po drugiej stronie rzeki, rysujące się skały i urwiska, ponure we dnie a teraz złowieszcze... Wszystko w oczach i w duszy Ilicy napełnionej trwogą i niepokojem wyglądało złowrogo. Doszedłszy do szczytu, znużona usiadła na zimnej ziemi pod wielkim wiązem. Pustynie górskie spały, dzika cisza panowała w przyrodzie, tylko rzeka szumiała gdzieś w głębinie, po nad którą wznosiły się budynki i dachy monasteru, bez żadnego światełka. Z prawej strony dolatywało szczekanie psów z Lutybrodu. Powstała z ziemi, lecz lękając się iść przez wieś, skierowała na lewo po urwiskach, a potem przebiegła polem.

Wkrótce znalazła się na dole, przy samym Iskrze. Łódź była przy brzegu. Ilica udała się do szałasu, gdzie zwykle sypiał przewoźnik. W szałasie nie było nikogo, widocznie przewoźnik lękał się tu noc przepędzić. Przestraszona, nie wiedziała co ma robić. Podeszła do łodzi, Iskier szumiał strasznie, widziała odbłysk ciemnych fal, dreszcz ją przebiegł. Co robić? Czekać do ranka? Nawet nie chciała myśleć o tem, chociaż pianie kogutów w Lutybrodzie zapowiadało świt. Co ma robić? Czy puścić się samej, ona widziała, jak wiosłują... To jej się wydało bardzo niebezpiecz-

nem, lecz nie było wyboru, jeżeli chciała spotkać powstańca, który na nią czekał, umierający z głodu i niepokoju. Położyła na piasku dziecię — o którem teraz nie myślała! — pochyliła się, aby odwiązać łańcuch, przywiązujący łódkę do kołka. Zadrżała: łańcuch nie był przywiązany, lecz zamknięty na kłódkę; sprawili to Turcy, chcąc przeszkodzić nocnej przeprawie. Stała drżąca. Koguty coraz częściej piały w Lutybrodzie, na wschodzie niebo z lekka się szarzało, za godzinę, za dwie zaświta. Załkała bezsilnie, i dobyła wszystkich sił, żeby bądź złamać kłódkę, bądź zerwać łańcuch. Jedno i drugie okazało się niemożliwem. Podniosła się zziajana i stanęła zrozpaczona. Nagle pochyliła się po raz trzeci, chwyciła kołek dwoma rękami, chcąc go wyrwać. Kół zabity głęboko, stał tam lata całe, jakby przykuty. Zdwoiła, potroiła swoje usiłowania, spalone od słońca jej ramiona naprężyły się, muskuły jej zdobyły siłę i sprężystość stali, kości zatrzeszczały od wytężenia a gorący pot oblał lice. Zasapana, zmęczona, jakby zrąbała furę drzewa, podniosła się, odetchnęła trochę i znowu chwyciła kołek, z nową siłą i zaciekłością, szarpiąc go na wszystkie strony, aby wyciągnąć. Stare jej piersi dyszały chrypliwie, nogi jej wbijały się po kostki w piasek i po półgodzinnej straszliwej walce, kołek drgnął, ziemia się obruszyła, wkońcu udało się jej wyciągnąć kołek z ziemi. Łańcuch zadzwonił głucho, w nocnej ciszy.

Ilica westchnęła zwycięzko i padła wycieńczona na piasek... Po chwili łódź z Ilicą, dzieckiem i kołkiem kołysała się na czarnych falach.

V.

W tem miejscu Iskier, wychodząc z skalistego przesmyku, rozlewa się szeroko, płynąc pomiędzy niskimi i płaskimi brzegami. Łódź płynęła wraz z prądem, nie poddając się wiosłu, kierowanemu nieumiejętną ręką wieśniaczki. W ten sposób spłynęła daleko niżej, od miejsca zwykłego wylądowania. Ilica wysilała się tylko, aby nie przybić do brzegu, od którego odpłynęła. W końcu silniejszy prąd skierował ją ku przeciwnemu brzegowi, a wieśniaczka z wielkim trudem zdołała wylądować. Wyszła z łodzi z dzieckiem na ręku i pnąc się w górę, skierowała swe kroki ku lasowi. Gdy zbliżała się do miejca, gdzie spotkała powstańca, spostrzegła, poruszający się pomiędzy pniami drzew, cień ludzki, w którym poznała tego, którego szukała. Powstaniec zbliżył się do niej.

— Dobry wieczór chłopcze. Oto masz:

I z temi słowy podała mu chleb, wiedząc dobrze, że tego najwięcej było mu potrzeba.

— Dziękuję ci, matko, odpowiedział zgnębiony.

— Czekaj, ubierz się w to! — i dała mu zwierzchnie odzienie, którem było dziecko pokryte. — Wzięłam z monasteru, pokryjomu. Boże odpuść, zgrzeszyłam...

Ilica zabrała to odzienie ze ściany, myśląc, że należy do parobka. Lecz kiedy powstaniec go włożył, ze zdziwieniem spostrzegła, że to habit mnicha!

— Wszystko jedno, rozgrzeję się trochę, rzekł młodzieniec, otulając się suchą, wełnianą opończą.

Poszli razem. Powstaniec jadł, milcząc; drżał z zimna i silnie kulał. Był to dwudziestoletni bezwąsy młodzieniec, szczupły, wysoki. Kobieta, aby mu nie przeszkadzać w nasyceniu głodu, nie pytała, kto on i skąd jest, tylko sama opowiadała mu po cichu; lecz ciekawość wzięła górę i zapytała go skąd idzie. Powiedział jej, że nie z gór, a z równiny. Onej nocy został odcięty od oddziału w winnicach Weslecu, stamtąd tułając się, dowlókł się tutaj z wielkim strachem pośród niebezpieczeństw, dwa dni i dwie noce nic nie jadł, wycieńczony pochodem, z nogami poranionemi, zgorączkowany; teraz dąży ku górom, aby tam odnaleść towarzyszy, albo żeby się ukryć.

— Synu, ty nie możesz już iść, odezwała się Ilica, daj mi karabin, będzie ci lżej.

I lewą ręką wzięła od niego karabin, trzymając dziecię na prawej.

— Chodź, chodź, zbieraj siły chłopcze.

— Gdzie się teraz podzieję, matko?

— Jakto gdzie? W domu!

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *O powołaniu krzyżaków przez ks. Konrada* napisał dr. Wojciech Kętrzyński. (Odbitka z t. XLV. Rozpraw wydziału historyczno-filozoficznego Akademiji umiejętności w Krakowie, 1902 r. str. 1—106, z mapą). Zasłużony historyk zajął się świeżo zbadaniem wszystkich dokumentów, odnoszących się do powołania krzyżaków przez ks. Konrada — i wykazał, że wszystkie niemal dokumenta, przedstawiane przez Krzyżaków przed kurją papieską i na dworze cesarskim, jako też w późniejszych procesach z Polską, były prostemi fałszerstwami, za jakie w sprawach prywatnych kodeks karny surowe nakłada kary. — Krzyżacy stworzyli legendę o grożącem Polsce ze strony Prus niebezpieczeństwie i o uwolnieniu przez siebie Polski od tej pogańskiej zmory. Autor wykazał, że nie obawa przed zagubą własnego księstwa, lecz ambitna chęć rozszerzenia swego panowania, skłoniła ks. Konrada do wezwania do Polski zakonu krzyżackiego. Nie miał on też bynajmniej zamiaru zrzekania się zwierzchnictwa nad Prusami, które zamierzał opanować za pomocą krzyżaków, a tem mniej odstąpienia temuż zakonowi swego własnego kraju, jakim była odwiecznie polska ziemia chełmińska. Niestety przeliczył się. — W rezultacie autor dochodzi do następującej konkluzji: „Już to, co sami uczeni pruscy wykazali, rzuca ciemną plamę na moralność krzyżacką; w ciemniejszych kolorach przedstawia się ona w naszych badaniach, opierających się głównie na źródłach współczesnych, a nie na późniejszych, które jako wychodzące ze sfer krzyżackich, przedstawiają cały przebieg dziejów tak, jak tego interes zakonu wymagał, t. j. na jego korzyść“.

Piętnując machinacje i fałszerstwa znane po części i niemieckim historykom, jak Perlbach, Lohmeyer i inni, słusznie zaznacza autor, że „gdyby nie okoliczność, że z ich zasiewów powstała potęga pruska, która oślepia oczy badacza, nie wielbionoby zapewne z takim zapałem ludzi pochwały niegodnych“.

Piotr Krapotkin. *Wspomnienia rewolucjonisty* — z przedmową Jerzego Brandesa. Przekład M. Sarneckiej. — Lwów 1903. — Nie potrzebujemy przypominać czytelnikom naszym, że pamiętniki znanego przewódcy nowożytnych federalnych socjalistów, czyli anarchistów, spadkobiercy Bakunina i politycznego współpracownika Tołstoja, należą do najciekawszych dzieł ostatniej doby; niemała zatem jest zasługa tłumaczki, która je naszej literaturze przyswoiła. Ów „rewolucjonista“, straszny anarchista jest panem z panów, zupełnie tak samo jak tylko co wspomniani Bakunin i Tołstoj; doskonale przytem sam opowiada, jak poczucie godności osobistej i litość nad niedolą własnych poddanych, przerobiła go z lalki Mikołaja I., pazia Aleksandra II. i adjutanta generał-gubernatora sybirskiego w nihilistę a potem anarchistę, marzącego jedynie o uszczęśliwieniu uciemiężonej ludzkości. Barwne opowiadanie księcia Krapotkina daje nam szczegółowy obraz ruchu tak zwanego nihilistycznego w Rosji po 1860 r., cierpień więźniów stanu nie tylko w Petersburskiej „Pietropawłówce“, ale i w celkach republikańsko-carskiej Francji (wskutek rozkazu wielkiego „mirotwórcy“, Aleksandra III.), chociaż zbyt może dyskretnie wspomina o błędach i fałszywych zasadach, które po kilku latach niesłychanie energicznej działalności doprowadziły ten ruch do zupełnego upadku, tak, że przyczynił się jedynie do zagmatwania kwestji społecznej i do spotęgowania carskiej reakcji.

Mamy jednak żal do sławnego anarchisty za jego nieznajomość polskiego ruchu, zrozumiałą tylko dla tych, którzy wiedzą, jak rosyjscy rewolucjoniści mało są obeznani wogóle z polskim narodem i z polskiemi dziejami. Pochodzi to po części z naszej winy, bo nasi patrjoci boją się jak ognia spółdziałania z rosyjskim ruchem rewolucyjnym, ale przebija się także, nawet u takich Krapotkinów, moskiewski szowinizm, nie chcący się przyznać do tego, że pierwszymi inicjatorami ruchu rewolucyjnego w Rosji byli właśnie Polacy i to od początku XIX. wieku. Krapotkin powtarza n. p. za Katkowem jak za panią matką pacierz, bajkę o oswobodzeniu polskich chłopów przez cara i o pozyskaniu sobie pomocy ludu wiejskiego przez Moskali, kiedy najpobieżniejsze nawet czytanie dziejów mogłoby go przekonać, że właśnie polska demokracja, od czasów Kościuszki, przymusiła rządy zaborcze do uwłaszczenia chłopów w 1848 a potem w 1863 roku; ostatnim wyrazem tej akcji był manifest styczniowy Rządu Narodowego, dzięki któremu ci właśnie chłopi, którzy walczyli przeciw caratowi, zostali daleko lepiej uposażeni od najwierniejszych kacapów i daleko mniej za swoją ziemię zapłacili. Nie dziwi to nas, że Krapotkin o tem nie wiedział, czy wiedzieć nie chciał, ale tłómacz powinien był od siebie, chociażby w dopisku, całą tę sprawę rozjaśnić. Bądź co bądź wspomnienia Krapotkina są bardzo cennym nabytkiem dla naszego piśmiennictwa.

Wiadomości bibljograficzne. Od 1. października wychodzić będzie w Warszawie tygodnik p. t. „Pedagog popularny“, pod redakcją i nakładem Felicjana Borysławskiego.

Na dochód ludności, dotkniętej klęską powodzi Ogniwo zamierza wydać księgę zbiorową pod tytułem „Myśl“, w której skład wejdą prace pisarzy z różnych dziedzin.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.